

Fred i Mick spacerują po łące w pięknej dolinie, po prawej stronie mają zagajnik, a po lewej rozciąga się jedno z miasteczek Górnej Adygi.

Rozmawiają.

– Jak sądzisz, dlaczego od tylu lat przyjeżdżamy tu na wakacje?

– pyta Fred.

– Bo zawsze chce się wracać do miejsc, w których byliśmy szczęśliwi.

Ballinger się uśmiecha.

– Powiedziane, jak przystało na scenarzystę.

– Chciałbym! To John Cheever.

– Pamiętasz Gildę?

– Ten film?

– Nie, Gildę Black. Tę, w której się obydwaj zakochaliśmy.

– Gilda Black?!

– Gilda Black.

Mick się śmieje.

– Co za wspomnienia cię naszły! To było chyba sto lat temu.

– Mnie się wydaje, jakby to było wczoraj. Oddałbym dwadzieścia lat życia, żeby pójść z nią do łóżka.

– Zrobiłbyś straszną głupotę. Gilda Black nie była warta dwudziestu lat życia. Nie była warta nawet jednego dnia.

Nagle Fred jest bardzo rozczarowany i trochę zaniepokojony.

– Skąd to wiesz? Byłeś z nią w łóżku?

Mick mamrocze, wie, że popełnił gafę.

– Co? Co mówiłeś?

– Słyszałeś doskonale. Sześćdziesiąt lat temu przysięgałeś mi, że nie poszedłeś z nią do łóżka przez wzgląd na moją miłość do niej. Teraz mówisz coś innego.

– Posłuchaj, muszę ci coś wyznać.

– Brawo, wyznawaj!

– Prawdziwa tragedia, i uwierz mi, że to naprawdę jest tragedia, tkwi w tym, że ja nie pamiętam, czy poszedłem do łóżka z Gildą Black.

– Mówisz poważnie?

– Niestety tak. Przysięgam.

– Hm, to zmienia postać rzeczy.

– W jakim sensie?

– Gdybyś miał pewność, że to zrobiłeś, nasza przyjaźń by się teraz skończyła. W tym wypadku jednak powiedzmy... że mogę żyć w niepewności.

– W każdym razie, jeśli poszedłem z nią do łóżka i tego nie pamiętam, to znaczy, że nie była warta dwudziestu lat życia. Nie sądzisz?

– Tak, masz rację. Gilda Black to zamknięty rozdział między nami.

– To dobrze. Dzieci wyjechały?

– Twój syn poszedł na całość: Polinezja.

– Wiem, lubi wydawać. Ciekawe, po kim to odziedziczył.

– Na pewno nie po tobie.

Mick się śmieje. Cisza. Fred nagle traci ciepłowość. Wzdycha.

Jego przyjaciel to zauważa.

– Co? Ciągłe myślisz o Gildzie Black?

– Nie. Myślę o tym wszystkim, o czym zapominamy z czasem.

Ja nie pamiętam już moich rodziców. Jacy byli, jak mówili.

Wczoraj w nocy patrzyłem na śpiącą Lenę i myślałem o tych wszystkich rzeczach, tysiącach rzeczy, które zrobiłem dla niej jako ojciec. I robiłem je dokładnie po to, żeby ona, jak dorośnie, sobie o nich przypomniała. Natomiast ona, z czasem, nie będzie pamiętała o żadnej z nich.

Mick na niego patrzy i nie wie, co powiedzieć. To jest piękna chwila.

Fred także podnosi wzrok na Micka i z lekkim, nietypowym dla niego zapałem chwyta go za ramię i syczy z oburzeniem:

– Ogromny wysiłek, Mick. Ogromny wysiłek, a rezultat skromny. Zawsze tak samo.

Mick jest zaskoczony, oniemiały.

– Ta rozmowa zaczyna się robić interesująca. Potrzebuję papierosa, a zostawiłem je w hotelu. Zaczekaj chwilę, pójdę kupić.

Fred przytakuje smutno, jakby pokonany.

Przyjaciel oddala się w stronę miasteczka.

Nagle w ciszy rozlega się intensywne cykanie cykady. Fred odwraca się w stronę źródła dźwięku i, jak zahipnotyzowany, idzie w jego stronę.

Znalazł się pomiędzy drzewami, rozbrzmiewają setki cykad.

Jakiś ptak zaczął dziwnie, nieprzyjemnie świergotać, zagłuszając cykady. Fred jest zafascynowany tym nowym dźwiękiem.

Zapomina o cykadach i oddala się w poszukiwaniu jego źródła.

Wpatruje się w korony drzew, próbując znaleźć ptaka, który nie daje się uchwycić wzrokiem. Idzie dalej, dociera na skraj lasu.

Zupełnie nowa konstelacja dźwięków dołącza do poprzednich: to dzwonki krów.

Fred wychodzi z zagajnika i jego oczom ukazuje się rozległe, łagodne wzgórze skąpane w słońcu. Pięćdziesiątka rozproszonych krów pasących się na łące potrząsa bezwiednie kolejnymi dzwonkami. Ten widok rozpromienia jego oczy. Obserwując krowy, siada na kamieniu.

Przysłuchuje się tej kakofonii dźwięków: krowom, cykadom, ptakowi.

W tym momencie Fred się koncentruje, zamyka oczy. Delikatnie zaczyna poruszać dłonią w sposób typowy dla dyrygenta i – jak zaczarowane – niektóre dzwonki milkną. Inne dalej rozbrzmiewają, ale nie tworzą już anarchicznego chaosu, lecz układają się w melodyjną całość. Kolejnym ruchem dłoni Fred zatrzymuje następne dzwonki, tak że pozostają tylko dwa, które wygrywają naprzemiennie tony.

Jeden szeroki gest jego ręki, zwrócony jakby do tyłu, i do dzwonków dołącza świergot ptaka z lasu. Następnie obydwoma rękami Fred zaprasza do udziału chór: setki cykad akompaniują ptakowi soliście i drugiemu głosowi krowich dzwonków. Symfonia natury.

Fred, nadal z zamkniętymi oczami, uśmiecha się do siebie.

Pierwszy raz widzimy szczęśliwego człowieka.

Harmonizując w wyobraźni otaczające go odgłosy, robi coś pięknego. Komponuje.

Mick wraca w to miejsce na łące, w którym się rozdzielili. Rozgląda się, po Fredzie nie ma nawet śladu. Zapala papierosa. Gdy to robi, jego wzrok pada na coś, co się porusza w oddalonej zagrodzie. To biały koń.

Mick robi jedyną rzecz, którą potrafi: składa dłonie, tak jak robią reżyserzy, w kształt kadru filmowego. Przymyka jedno oko i palcami ułożonymi w „ramkę” śledzi w panoramie przepiękne biegające zwierzę.